

Agnieszka Kołakowska: Przedświąteczne narzekania: nostalgia i kupki nietoperzy [FELIETON]

To, co jeszcze dziesięć lat temu byłoby nie do pomyślenia w naszych liberalnych demokracjach, oto przed naszymi oczami się dzieje. To, co uchodziłoby kiedyś za absurdalny dowcip w złym guście, musimy traktować poważnie. To nie jest już jakaś kolejna fala wojny kultur; nie chodzi już o „kultury”. Chodzi o walkę z totalitarną ideologią. Stoimy w obliczu prawdziwej rewolucji, w której wrogami są ludzie biali, wolność słowa, nauka, Europa i jej tradycje – cały Zachód i zachodnia cywilizacja – pisze Agnieszka Kołakowska w nowym felietonie z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”.

Im dalej, tym gorzej. (Chyba nie po raz pierwszy to mówię). Dwie rzeczy, rzekł (ponoć) Einstein, są nieskończone: wszechświat i ludzka głupota. Ale niewiarygodne absurdy, jakie wszędzie wokół widzimy, w każdym zakamarku życia w gruzach naszych liberalnych demokracji, niekoniecznie są skutkiem głupoty; całkiem inteligentni ludzie czasem dają się zwieść teoriom spiskowym, uwikłać w szponach bredni i pogrążyć w szalonych, szkodliwych i sprzecznych wewnętrznie ideologiach. (Ale czy nie wszystkie ideologie są z natury rzeczy szalone i szkodliwe?).

Na przykład, całkiem inteligentni ludzie, wśród nich także naukowcy, naprawdę wierzą, na przekór wszelkim faktom, że nadchodzi „katastrofa” klimatyczna, i że jeśli natychmiast wyłączymy prąd oraz pozbedziemy się ropy, to z czasem (kiedy?) będzie 1,8 (dlaczego nie 1,7? albo 1,9?) stopni mniej (niż co?). Albo że niejedzenie krów jakoś ocali planetę. Są to w oczywisty sposób brednie – są to brednie nawet na kilka oczywistych sposobów (których jednak – halo, proszę nie odchodzić! – nie wyliczę, bo nie ma miejsca, a cierpliwość czytelników – jeśli są jeszcze tacy – też nie jest bezgraniczna). Dla każdego o mózgu nawet robaczka świętojańskiego powinno to być oczywiste. Ale nie jest tak: krąży i rozprzestrzenia się jakiś dziwny wirus, który zabija zdrowy rozsądek. Histeria klimatyczna sięgnęła szczytu: aktywiści klimatyczni grożą końcem świata, wojnami, napadami, morderstwami, gwałtami, anarchią. Niektórzy z nich są rodzicami; ich dzieci żyją w przerażeniu.

Ale jedyna katastrofa, jaka nas czeka, to katastrofa wywołana przez tych właśnie ludzi. Nie wiem, czy alarmiści klimatyczni naprawdę wierzą, że wdrożenie ich żądań może zapobiec globalnej „katastrofie”. Wolno w to wątpić. Na pewno nie uważają, by na nich też ciążyły jakiegokolwiek obowiązki; obowiązki nielatania samolotami i nieogrzewania domów ciążą tylko na innych. Większości z nich zależy głównie na ostentacyjnym chełpieniu się własną wyższością. Nie liczą się ani czyny, ani skutki.

Mimo to nasi politycy temu ulegają, najwyraźniej zarażeni wirusem, który niszczy zdrowy rozsądek. Tak samo, jak ulegają aktywistom BLM, ideologii identyczności grupowej, interseksjonalności i całej reszcie. Polityka została ostatecznie oderwana od skutków. Kiedyś to oderwanie było charakterystyczne dla lewicy, która kierowała się wyłącznie

*Histeria klimatyczna sięgnęła
szczytu: aktywiści klimatyczni
grożą końcem świata,
wojnami, napadami,
morderstwami, gwałtami,
anarchią. Niektórzy z nich są
rodzicami; ich dzieci żyją w
przerażeniu*

zasadami doktryny,
niezależnie od
skutków; teraz także
konserwatywne
rządy brną w jawne
absurdy, nie licząc
się ze skutkami.
Trudno zrozumieć,
trzydzieści lat po
upadku Związku
Sowieckiego, jak
mogło dojść do tego,
że w zachodnich

demokracjach króluje cenzura i fakty już się nie liczą; liczy się tylko ideologia i przestrzeganie jej przykazań, bezkrytyczne, bezmyślne powtarzanie doktryn panującej ortodoksji. I nie tylko się liczą: są obowiązkowe. Obowiązkowe jest też szczucie i „kancelowanie” nieposłusznych. Nie wolno milczeć, bo „milczenie jest przemocą”. Trzeba dołączyć. Klaskać i maszerować, jak w czasach stalinowskich. Czasem trzeba też klękać.

Ogarnia nas – no dobrze, może nie nas wszystkich, ale nie jestem w tym odosobniona – nostalgia za dawnymi czasami: tęsknota za wojnami kultur z początku lat 1960., które wydają się teraz – w porównaniu z tym, co się obecnie dzieje – niewinne i niegroźne. Zdarza nam się nawet westchnąć z nostalgią za starą socjalistyczną lewicą. W tych dobrych starych czasach ta lewica nie skupiała się na drzewach i planecie, nie sprzeciwiała się przemysłowi ani elektryczności, nie była antysemicka ani rasistowska, nie narzucała samo-definicji według rasy i płci, nie chciała wprowadzać cenzury, nie potępiała nauki pisania i czytania jako elitarne, wierzyła w naukę i w wolność słowa. Dzieci-

kwiaty chciały znieść egzaminy uniwersyteckie, ale nikt nie sugerował „innych sposobów poznania”, nikt nie chciał zamykać całych wydziałów i nauk jako kolonialnych siedlisk białej supremacji, kneblować białych, uczyć ośmiolatków o możliwościach zmiany płci, narzucać wszystkim obowiązkowych sesji autokrytyki ani „kancelować” ludzi za niesłuszne opinie. Wydawnictwa nie wynajmowały komisarzy „wrażliwości”, by cenzurować książki, w których mieli wykrywać niesłuszne treści. W tej złotej epoce można było swobodnie pisać powieści i kręcić filmy na różne tematy, bez wstawiania przypominających czasy komunistycznej cenzury obowiązkowych wzmianek o systemicznym rasizmie i białej supremacji, żeby „przeszły”. Nie było totalitarnej indoktrynacji w przedszkolach; nie było w szkołach propagandy, przypominającej stalinowskie czasy; na uniwersytetach ani w miejscach pracy nie było obowiązkowego szkolenia ideologicznego.

Owszem, Facebook i Twitter, których wtedy nie było, odpowiadają za bardzo wiele, ale nie możemy jednak wszystkiego na nie zwalić. Wolno zapytać: czy nasza cywilizacja byłaby w obecnym stanie rozkładu, gdyby ich nie było? Przypuszczam, że tak. Ale może nie będziemy długo czekać na odpowiedź: dowiemy się, gdy wskutek działań klimatoalarmistów zgasną światła, skończy się wi-fi i nie będzie już można ładować smartfonów ani komputerów. Miły będzie powrót do pisania listów i przemieszczania się za pomocą konia, ewentualnie konia i bryczki. Mniej miłe będą kolacje złożone z surowej cebuli i kartofli, spożywane w mrozie przy świecach.

Tymczasem rasistowskie okazują się nie tylko drzewa, lecz także inne rośliny, na przykład kalafiory – w ich przypadku przypuszczalnie dlatego, że są białe. A może dlatego, że gdzieś, kiedyś, jedli je

Nie powinniśmy już mówić o „wojnie kultur”, ani o „poprawności politycznej”. Ta wojna już dawno przekroczyła granice obszarów znaczenia tych słów. Nie mówiąc o granicach absurdu

kolonialisci,
imperialisci i
właściciele
niewolników. Kto
wie. We Francji,
gdzie drzewa nie są
jeszcze rasistowskie,
burmistrz miasta
Bordeaux
wprowadził do
Konstytucji miasta
prawa drzew. Drzewa

zasługują odtąd na „szacunek same w sobie”; nie wolno ich uprzedmiotowiać. Mają prawo do przestrzeni, która im jest „potrzebna do zrealizowania pełni swoich możliwości”. Ale – zapytał mój mąż – jakie, w takim razie, mają obowiązki? O obowiązkach drzew na razie nie było mowy.

I tak niedobrze, i tak niedobrze. Zasadzić to drzewo czy nie? Podczas wojny kultur lat 1960., kiedy drzewa i kalafiory nie były jeszcze rasistowskie, nie było takich problemów. Nikt też nie sugerował, że zasługujemy na szacunek wyłącznie ze względu na naszą płeć, kolor skóry i wyraz modnych, słusznych poglądów, a nie za nasze czyny i osiągnięcia. (Ani dlatego, że jesteśmy drzewem.) Martin Luther King, największy symbol amerykańskiej walki o prawa obywatelskie czarnych, marzył o równych szansach dla wszystkich niezależnie od koloru skóry. Teraz, kiedy liczy się wyłącznie kolor skóry i białe postępowe elity walczą w imieniu czarnych o segregację i cenzurę, nie wolno o nim wspominać.

Nie powinniśmy już mówić o „wojnie kultur”, ani o „poprawności politycznej”. Ta wojna już dawno przekroczyła granice obszarów znaczenia tych słów. Nie mówiąc o granicach absurdu. To, co jeszcze dziesięć lat temu byłoby nie do pomyślenia w naszych liberalnych demokracjach, oto przed naszymi oczami się dzieje; to, co uchodziłoby kiedyś za absurdalny dowcip w złym guście, musimy traktować poważnie. To nie jest już jakaś kolejna fala wojny kultur; nie chodzi już o „kultury”. Chodzi o walkę z totalitarną ideologią. Stoimy w obliczu prawdziwej rewolucji, w której wrogami są ludzie biali, wolność słowa, nauka, Europa i jej tradycje – cały Zachód i zachodnia cywilizacja. Można mówić, że ci rewolucjoniści to przecież ogromna mniejszość; ale pamiętajmy, że bolszewicy też byli ogromną mniejszością. Można zauważyć, że większość czarnych wcale tego wszystkiego nie chce i milczy tylko ze strachu; ale wywierana na nich presja jest niezwykle silna: w końcu chodzi o lojalność, o przyłączenie się do „swoich” wobec opresji. Niewielu jest takich, co mają siłę taką presję wytrzymać i odwagę się sprzeciwić. Można powtarzać, że przecież ta ideologia nie ma zorganizowanej Partii, ani policji, ani czołgów; ale mimo to rządy jej ulegają. Nikt nie puka do drzwi w środku nocy; ale ludzie żyją w strachu, tracą pracę i dochody, boją się mówić, boją się myśleć.

Zaczęło się – jak zazwyczaj – na uniwersytetach; ale nie skończyło się tam. Dziś nie ma już ani skrawka swobodnej przestrzeni w żadnej sferze życia, pracy, sportu, nawet rozrywki. Nie ma jeszcze gułagów, ale bardzo możliwe, że niedługo będą obozy „reedukacji”. W końcu są już obowiązkowe publiczne sesje auto-krytyki i obowiązkowe szkolenia o rasizmie i „wrażliwości” – w szkołach i na uniwersytetach, we wszystkich prawie miejscach pracy, nawet w parlamentach. I w kościołach. Nic już nie jest nie do pomyślenia; nie ma już niczego, co „przecież nie mogłoby się wydarzyć tutaj”.

Dziś nie ma już ani skrawka swobodnej przestrzeni w żadnej sferze życia, pracy, sportu, nawet rozrywki. Nie ma jeszcze gułagów, ale bardzo możliwe, że niedługo będą obozy „reedukacji”

Tymczasem nigdzie nie ma skutecznego oporu. W Stanach Zjednoczonych słychać głosy, nawołujące do sojuszu liberałów, konserwatystów różnych pokrojów, nawet „starej”

lewicy, którzy razem mogliby zatrzymać długi marsz przez instytucje i przeciwstawić się rozpadowi naszej cywilizacji. Antymarksistowska lewica, libertarianie, neokonserwatyści, klasyczni liberałowie i Thatcheryści (halo! jestem tu!), religijni konserwatyści. Szanse na taki sojusz są nikłe – jak na razie wszyscy się kłócą o liberalizm i nikt z nikim do zgody nie doszedł – ale przynajmniej rozmawiają. Taki sojusz byłby to tylko tymczasowy i trudny do utrzymania, ale jednak silny, zdolny do skutecznego działania przeciwko postępowym ideologiom z jednej strony, religijnym integrystom z drugiej i orędownikom powrotu do jaskiń w trzeciej. (Muszą być co najmniej trzy strony, bo nie wszystko się pokrywa ze starym podziałem lewica-prawica: ociepleniowcy i eko-szaleńcy, na przykład, istnieją po obu stronach.) W latach 1960. właśnie tak było. Liberałowie wszelkich pokrojów wiedzą, że to jedyna szansa. Dlaczego w Polsce takie rozmowy są niemożliwe? Dlaczego jedynym lekarstwem na totalitarne ideologie ma być rezygnacja z liberalizmu i wprowadzenie jakiejś formy teokracji, która udaje, że nią nie jest?

I dlaczego każdy prawie nowy „konserwatywny” polityk, który się wyłania, okazuje się miłośnikiem Rosji? I często także Chin? Ludzie pytają o Zemmoura i oczekują, że coś o nim powiem, skoro jestem we Francji; ale Zemmour, ta nasza wielka nowa nadzieja, też okazał się miłośnikiem Rosji. Prócz tego chciałby narzucić dzieciom francuskie imiona. (Nie tylko muzułmańskie mu przeszkadzają; amerykańskich też nie lubi. Zakaz żydowskich najwyraźniej nie jest dla niego problemem.) To wystarczy; nic więcej nie trzeba ani nie warto o nim pisać. Owszem, niepokojące jest, że co drugie dziecko we Francji nazywa się Muhammad; ale dekretowanie, że ma nazywać się Jean-Marie, jest – poza tym, że niczego nie załatwi – nie do pomyślenia.

W obliczu tego wszystkiego ogarnia nas nie tylko nostalgia; ogarnia też bezsilność. Nie można już tego strawić, nie mówiąc o pisaniu o tym. Najciekawszy tekst, jaki ostatnio czytałam w gazecie, był o tym, jak usuwać z firanek kupki nietoperzy. Jeśli jest jeszcze ktoś, kto ten felieton czyta – może z nudów albo z czystej rozpacz, bo nic poważnego nie może już strawić – ten biedny osamotniony zrozpaczony ktoś zauważył zapewne, że już od dawna znikły zeń analizy politycznych nurtów, i właściwie wszelkie uwagi na wszelki poważny temat. Czytamy w kółko to samo, piszemy w kółko to samo, nic to nie daje i nikt nie słucha. Halo? Jest tam ktoś? Ratunku!

Agnieszka Kołakowska

Przeczytaj inne felietony Agnieszki Kołakowskiej z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

